

Szpilki

Nr. 30 Rok VI

„PRAWDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI” (KRASIŃKI)

25. IX. 1945

Rząd Polski unieważnia konkordat



rys. Kazimierz Grus

**Słowacki: „Polsko, Ciebie się żadna trucizna nie imie
Krzyż Twym papieżem jest, a Twa zguba w Rzymie“**

[„Beniowski”]

G D Y B Y...

Gdybym miał tupet — a nie miał zdolności,
Gdybym miał swadę — bez umiejętności,
Gdybym miał rozmach — bez podstaw i racji,
Mniej pieco skrupułów i gram orientacji.
Gdybym w rodzinie mej miał dygnitarza,
Lub szefa resortu (co również się zdarza).

To miałbym już dzisiaj z komfortem mieszkanko,
Nad morzem siedziałbym z uroczą kochanką,
I miałbym benzynę, szofera, samochód,
Pensyjkę na czysto — na brudno zaś dochód.
I byłbym szanowny i zawsze zajęty
I pełen humoru. I pełen pointy.
Składałbym wizyty, urządzał przyjęcia,
Kuzyna ministra dostalbym za zięcia,
Poezji tom miałbym wydany wspaniale,
Chodziłbym na rauty, bankiety i bale.

Wieczorem utwory Przybosa czytałbym
I coś Minkiewicza. I z obu się śmiałbym.
W efekcie wspaniale, a w sumie kariera
I codzień litr wody jak jasna cholera.

Tak byłoby, gdyby tak było jak nie jest,
Że nie jest jak wyżej — niestety to źle jest.
Bo nie mam tupetu i brak mi jest swady,
(A w Łodzi gdzie spojrzysz wprost leżą posady)
I brak mi rozmachu i mówiam skrupuły
I jestem stanowczo za miękkimi, za czuły,
I w całej rodzinie, choć zliczę ją do sta,
Ni jeden dygnitarz. Ni jeden starosta.
Jest tylko inkasent gazowni, niestety,
I jeden konduktor. A reszta kobiety.

Więc siedzę i piszę. I patrzę przez szyby
I wzdycham po cichu: Ach, gdyby... ach, gdyby...

NO I MAMY znowu Loterię Państwową. W związku z wznowieniem tego monopolu ukazały się w prasie notatki urzędowe, określające to jako zjawisko dalszej normalizacji życia w Polsce. Nie mam nic specjalnie przeciw loterii. Ja tam gram na czym innym i wygrywam codziennie. Wygrywam na piszczałeczce mojej muzy rozmaite tony ostrzegawcze. Bo cóż to jest normalizacja? Według jakiego planu? Ludzie nawet najlepszej woli mają jakiś dziwny wzorzec w głowie i według tego idzie ta normalizacja. Normalizusów namnożyło się co niemiara. Wnikają drogą mimikry do organizmu demokracji. Rzecz w tym, by ten organizm oczyścić z tych mimikrobów i mimikreatur.

Wracamy do jakiejś normy. Zauważyłem to i u siebie. Onegdaj późnym wieczorem spacerowałem po Warszawie. Ciemno było, lampy świeciły gdzieś niedługo. Nie widać było spróchniałego uzębienia ruin. Tylko od czasu do czasu wylewały knajpy swoje światło na chodnik. Chodziłem tak po tej świętej Warszawie i myślałem. O czym myśli satyryk? O tematach. I przyłapałem się przy jednym takim nieistniejącym narożniku, że myślałem tutaj w roku 1939 na ten sam temat. Czy to ze mną tak źle, że nie mogę wkroczyć na nowe tory myśli?

Ale cieszymy się. Będziemy mieli kolektury. Ja tam wolę lekturę niż kolekturę, ale tej pierwszej nam „Czytelnik” nie dostarcza. Wprawdzie na moje skargi, że nic nie wychodzi, zaprzeczono mi kategorycznie. Że dużo się wydaje. Pieniądzy, obiadów w stołówkach „Czytelnika”, biletów w autobusach „Czytelnika”, forsy w kawiarniach „Czytelnika”, ale nic z tego nie wychodzi. Zaprzeczono znów kategorycznie. Że wyszedł. Kto? Szef działu wydawniczego wyszedł z wydawnictwa. A może by w ogóle wziąć na przeczyszczenie, może by wtedy coś wyszło? Bo w każdym normalnym organizmie jest tylko jedno wyjście. Ale jesteśmy wierzący. Wierzymy, że św. Jerzy Borejsza zwycięży w walce ze smo-

kiem. Chociaż się przy tym, jak zwykle, mocno zasapie.

Wszystko się normalizuje. Ja tam mam znowu kłopot, jak przed wrześniem 1939 z moimi satyrkami antysanacyjnymi. Coś się w nich nie podoba. Życie się unormalizowało. Uzdrowiło się. Usanowało się. Nastąpiła sanacja stosunków. Sanacja, tfu, a

kysz! Czy ja rzeczywiście jestem tym strasznym Mefistofelem, duchem, co zawsze zaprzecza? Czasem ogarnia mnie dogłębny smutek. Wokół tyle radosnych przytakawiczów, a ja samotny przytykiewicz.

X
Ogłoszono listy zasłużonych dla kultury i sztuki. Nie znamy

jeszcze ich pełnego składu, bo każda gazeta ogłosiła tylko nazwiska zasłużonych danego miasta. Nie czytaliśmy jeszcze „Informatora Szamotulskiego” i „Gazety Dolnośląskiej”.

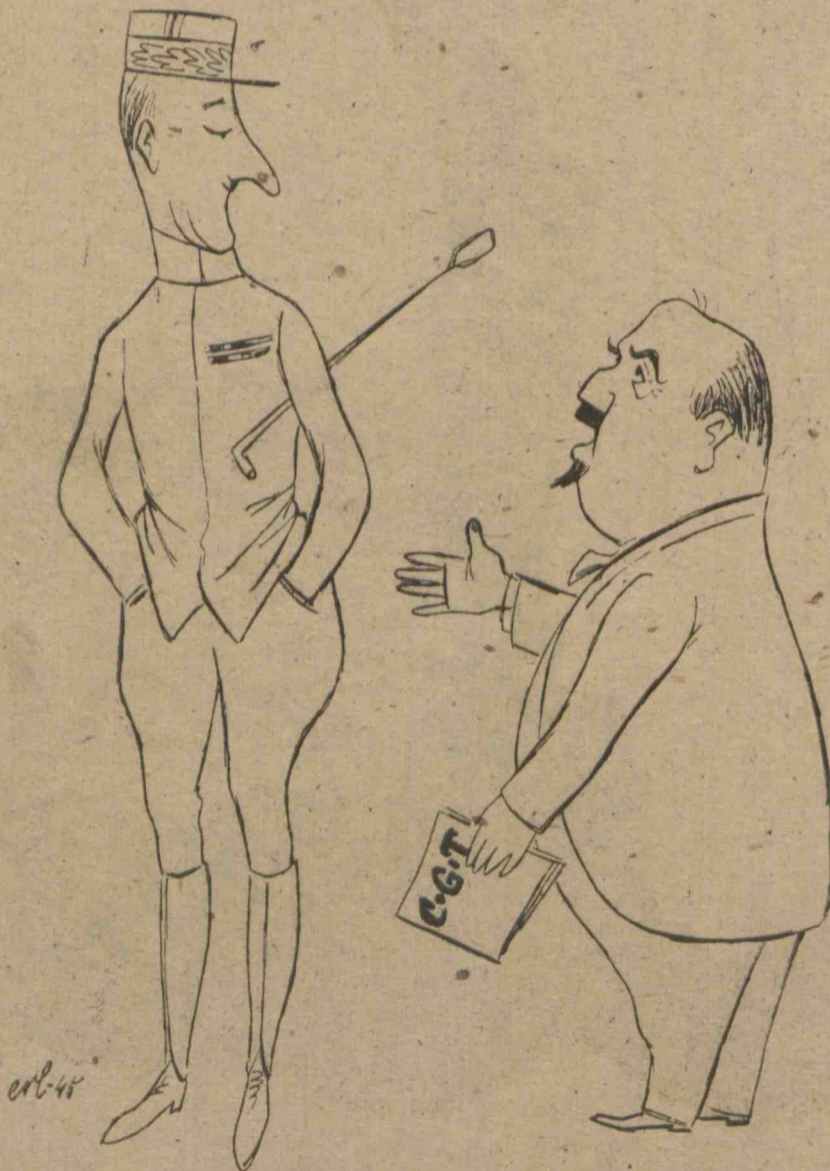
Ten tytuł zasłużonego polaczony jest zdaje mi się z emeryturką dożywotnią. Niektóre pozycje w tej liście, zwłaszcza w teatrze są trafne. Starzy, zasłużeni dla sceny polskiej aktorzy. Ucieszyło mnie bardzo wyróżnienie Węgrzyna. Co się tam gada tu i ówdzie, toby można przyklepić wielu innym, ale to przecież kawał historii teatru polskiego. Może już nie będzie musiał jeździć ze szmirami po różnych dziurach, albo się kłaniać grzecznie jako maitre d'hotel po mniej lub więcej wytwornych knajpach.

Ale w literaturze, jak zwykle, coś naknocono. Pomijam, że czasami lista wygląda tak, jakby wypadła z jakiejś zapomnianej, przedwrześniowej szafy. Ale tę emeryturkę dostały także chłopcy młode, na schwał, o bicepsach opalonych na murzyna, ludzie o buziach rumianych, którzy się jeszcze porządnie nie golą. I cóż — nim się będą golili, będą golili wodę za tę emeryturkę, zamiast się naprawdę dla polskiej kultury zasłużyć. Bo talent na to mają. Na jedno i na drugie. Ta historia przypomina do złudzenia te dawne sanacyjne wawrzyny akademickie, te „bobki” tak zwane. Tylko, że tu dochodzi forsa. Chcą między tym a tamtym zrobić par forsz różnicę.

Nie myślcie, że jestem zazdrosny. Satyryk, nie może, nie powinien być „zasłużony”. (W tej chwili ukryłem za górami makulatury „Szpilek” naszego sędziwego, zasłużonego Władzia Daszewskiego). Życie się normalizuje. Pewnego dnia nad ranem może się dobijać do moich drzwi jakaś delegacja i ja mogę się rzeczywiście zbudzić jako członek Polskiej Akademii Literatury. Ale zostawmy koszmary. Życie się normalizuje.

Kupimy sobie w kolekturze los. I rzucimy... swój życia los na stos, na stos, na stos... Ech, znowu sanacyjna melodia. Życie się normalizuje.

Gen. de Gaulle odmówił przyjęcia Leona Jouhaux przywódcy Związków Zawodowych



rys. Eryk Lipiński

Afront Ludowy

St. J. LEC.

WITOLD ZECHENTER

AKADEMIA

Rano wezwał mnie mój naczelny przed swoje marsowe oblicze i cichutkim jak zwykle głosikiem huknął:

— O dziesiątej jest bardzo ważna akademka, wie pan, z powodu ku czci tego, niech żyje. Niech pan pójdzie i napisze, ale bardzo dokładnie.

Nie miałem ochoty, ale cóż — zawiadomiwszy sekretarza naszej redakcji, o tym, że mnie nie będzie i żeby wiedział, że gdy mnie nie ma, to znaczy, że jestem gdzieś indziej, udałem się wolnym krokiem do sali „Baczność” na uroczystą akademkę.

Sala była prosto wybita świeżo odmalowanymi tapetami i pełna pustych krzeseł. O pół do jedenastej zaczęli się schodzić pierwsi prelegenci, o jedenastej pierwsi i ostatni goście. Około dwunastej nadjechali przedstawiciele władz i można było zacząć akademkę.

Siedziałem sobie wygodnie w miękkim fotelu i z lubością wsłuchiwałem się w słowa pierwszego mówcy. Huraganowe brawa rozległy się na sali, gdy skończył. Był to przedstawiciel województwa. Potem mówił krótko, kwadrans, przedstawiciel wojska. Potem przedstawiciel miasta, około trzy kwadranse. Byłem pewny, że na tym koniec przemówień i rozpocznie się część koncertowa. Ale nie. Na trybunę wskoczył przedstawiciel, jak się potem okazało, PPS. Słusznie. Była już godzina druga. Byłem pewny, że na tym zakończy się część przemówieniowa. Nawet kilku ze słuchaczy zbudziło się już i zaczęło zdradzać zainteresowanie. Gdy przebrzmiały oklaski, na trybunie zjawił się przedstawiciel PPR. Słusznie. Gdy mówił przedstawiciel PPS, powinien też mówić przedstawiciel PPR. W tym miejscu zapadłem zrezygnowany głębiej w fotel, gdyż byłem już pewny, że będzie mówić także przedstawiciel Stronnictwa Ludowego oraz przedstawiciel Stronnictwa Demokratycznego.

Przedstawiciel PPR mówił około godziny, gdyż musiał wyluszczyć. Po nim przemawiał dwadzieścia minut przedstawiciel Stronnictwa Ludowego. Po nim Stronnictwa Demokratycznego. Spokojnie słuchałem, przekonany, że na tym koniec. Ale w ogłuszających brawach po przemówieniu przedstawiciela Stronnictwa Demokratycznego jednym susem dopadł trybuny jakiś młody człowiek. Mówił z dużą swadą trzy kwadranse jako przedstawiciel Z. W. M. Po nim mówił przedstawiciel TUR. po nim przedstawiciel „Wici”. Była już czwarta godzina.

Ale wiedziałem, że na tym koniec. Jeszcze tylko część koncertowa i koniec. Nagle ujrzałem na trybunie nową postać. To mówił przedstawiciel duchowieństwa. Potem zaczęło mi się już trochę męcić w głowie. Bo jeszcze wciąż trwały przemówienia. I mówili kolejno przedstawiciele związków zawodowych jako to: Zw. Zaw. Literatów. Zw. Zaw. Dziennikarzy. Zw. Zaw. Plastyków. Zw. Zaw. Muzyków. Zw. Zaw. Aktorów, a potem ktoś zapowiedział krót-

kie przemówienia przedstawicieli związków zawodowych nieartystycznych, których — jak wiadomo — jest więcej niż artystycznych.

Gdy skończył mówić ostatni z przedstawicieli związków zawodowych nieartystycznych, z sali dobiegły lekkie brawa, dawane ostatkiem sił. Przy przemówieniu osiemnastego wyniesiono kogoś z sali. Pewnie omdlał. Po przemówieniu dwudziestego trzeciego i zarazem ostatniego przedstawiciela związku zawodowego, wystąpił na trybunę jeszcze jeden mówca i przemawiał około pół godziny imieniem Związku Zawodowych. Była godzina ósma. I nagle ujrzałem na trybunie kobietę. Mówiła w imieniu pań domu. Zapadałem się jakby w mgłę i przez tę mgłę ujrzałem jakiegoś pana na trybunie — widziałem, że rusza ustami, macha rękami, ale nie słyszałem, co mówi. Jeszcze ktoś i jeszcze ktoś i nagle w bezwład mojego mózgu wpadła zapowiedź:

— A teraz przystępujemy do części koncertowej.

I wtedy wstałem jak automat z mego wygodnego krzesła i zacząłem posuwać się ku trybunie. Działalem jakby z czyjegoś rozkazu, szedłem rytmicznie, wolno i powoli pięć się zacząłem po schodkach wiodących na trybunę mówców. Widziałem twarze słuchaczy, twarze blade, udręczone, widziałem ich oczy pełne przerażenia. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię. Stałem na trybunie, oparłem się o nią wygodnie i nagle — ryknąłem w niemą, zamartwiałą ze zgrozy salę:

— Obywatele i obywatelki! Póki my żyjemy! Nie damy ziemi! Niech żyje! Każda pięćdziesiątka musi być obsiana! Każde miasto, każda chata wie dobrze, co to za data! Wymieciemy! Podniesiemy! Propagujmy informacje i informujmy o propagandzie! Sto lat, sto lat niech żyje, żyje nam! W zdrowym ciele zdrowy duch! Na zachód, do ziemi przodków naszych! Niech żyje polskie morze! Niech żyją polskie góry! Niech żyje życie! Używajmy póki czas! Razem, do apelu! Nie wytkaj palca między drzwiami!

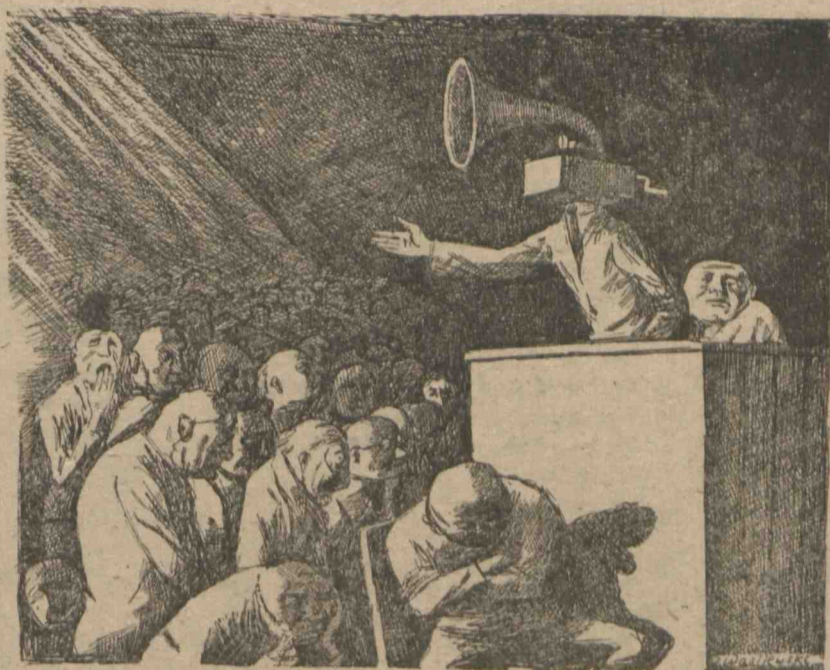
Tak mówiłem. Długo mówiłem. Mówiłem bez przerwy, gdy zdemolowano mnie z trybuny. Mówiłem bez przerwy, gdy niesiono mnie przez salę. Mówiłem dalej, gdy wkładano mnie do karetki. Mówiłem ustawicznie, gdy zakładano mi kaftan bezpieczeństwa. Podobno mówiłem bez przerwy przez trzy tygodnie. Potem zrobiło mi się lepiej. Potem wypuszczono mnie i wróciłem do redakcji.

— Co się z panem stało? — huknął mój naczelny redaktor.
— Byłem na akademii ku czci z powodu niech żyje — odrzekłem. — Zaraz napiszę sprawozdanie.

I właśnie to napisałem.

Szczypta soli

Francuskie związki zawodowe spierają się z gen. de Gaulle o sposób przeprowadzenia wyborów: „Gaulle'ono, strzyżono!”



rys. Zenon Wasilewski

Mówca

JAN PIOTROWSKI

DYSTYCHY

NA MATCH DE GAULLE — C. G. T.

Mierząc w stronę C. G. T., wprost z karnego pola
De Gaulle chce strzelić bramkę. Nie zrobi Gaulle gola.

NA „TOMMYS”

Anglików w Niemczech dzisiaj świąt wciąż za to gromi,
Że „tommys” zbyt łakomi niemek anatomii.

NA „ABSTYNENTA”

Że w ojczyźnie, powiadasz? Próżno język trzepie,
Gdy niczego nie robisz, by w niej było lepiej.

NA „BOHATERA”

Był w Warszawie pół-na-pół w schronie i prewiecie,
Teraz pragnie odznaczeń. Należą się przecie.

KAROL SZPAŁSKI

O WYROKU SĄDOWYM W PADERBORN

Jaki sąd
Taki błąd.

O BALAGANIE PANUJĄCYM W NIEKTÓRYCH WYDZIAŁACH PLANOWANIA

Jaki pan
Taki plan.

O REWII JURANDOTA W TEATRZE „SYRENA”
P. T. „PRAWO DO ŚMIECHU”

Jakie prawo
Takie brawo.

Wohec przychylnego ustosankowania się ludności japońskiej do władz okupacyjnych



Madame Butterfly:

rys. Roman Szalas

„W porcie okręt biały znów kotwicę rzucił”...

PIOSENKA PAPIEROWA

Jako że jestem pracownik pióra,
Więc ma mnie żywić literatura.
Idę do „Książki” z rękopisami.
Idę, lecz szkoda mego spaceru,
Bo mnie witają groźnie słowami:
„Nie ma papieru!”

Nad artykułem pracuję dwa dni.
Opracowałem go najdokładniej.
Wreszcie zanoszę go do gazety,
(Przecież nie mogę wyżyć z eteru!)
Ale redaktor mówi: „Niestety!
Nie ma papieru!”

Nie ma papieru, nie ma na składzie,
Nie ma w drukarni, ani w szufladzie
Papierowego nie słycać szmeru!
Jak tu drukować i jeść do kasta!
Kłedyż się skończy ten głód papieru
I literata?

STANISŁAW SOJECKI

ANTYSEMITA

Sklepek miał na rogu Żyd —
Koltun gorszy się, że wstyd,
By ńn nie miał, a miał Żyd!

Żyd na rogu miał więc sklep.
Koltun myśli — Żyda w leb —

I po Żydzie wziął ten sklep!

Wszedł do sklepu klient Żyd —
Placi, nie targując zbyt...
Koltun myśli: miły Żyd!...

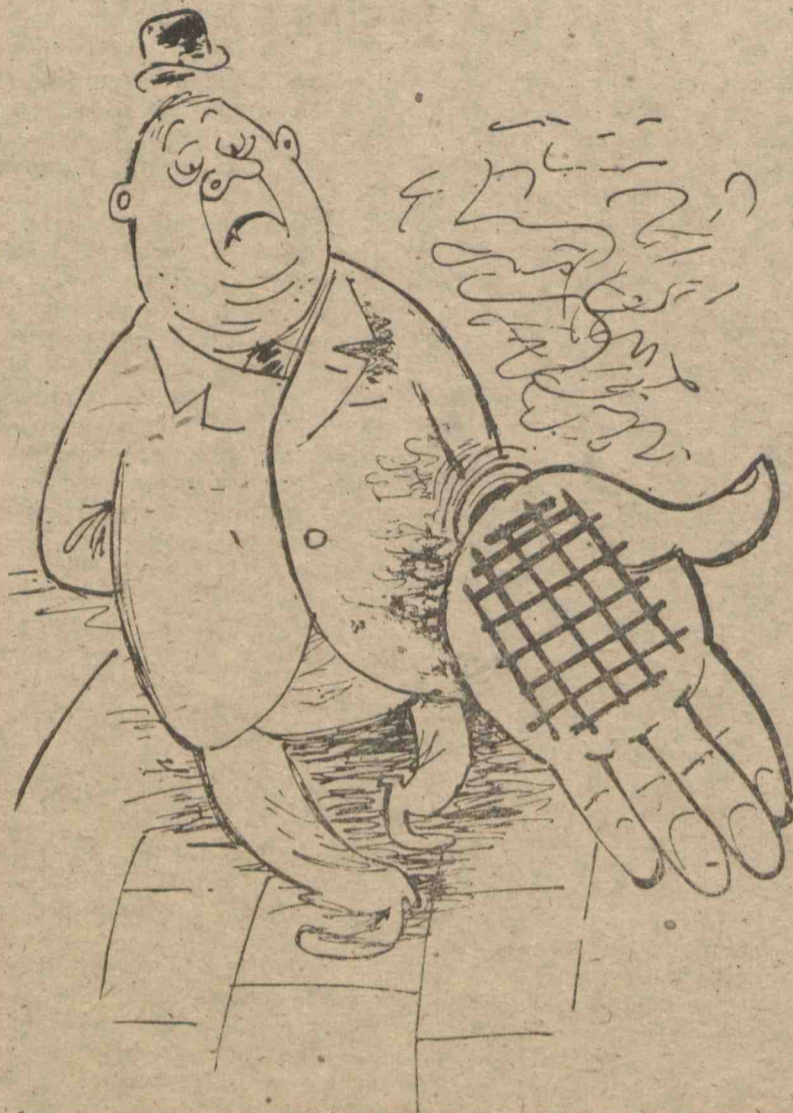
Chochlik drukarski



rys. Mieczysław Piotrowski

— Przepraszam, czy tu re akcja „Tygodniku Powszechnego”?

Linie dłoni wróżą przyszłość



rys. Karol Baraniecki

Łapownicy, obejrzyjcie swoje rączki!

IAN HUSZCZA

PAPIER

(dramat w jednym akcie)

Akt pierwszy i ostatni:

w urzędzie pełnym urzędników.

(Scena przedstawia urząd pełny urzędników, zajmujących się przydzielaniem papieru, a w danej chwili dłubiących w nosach. Wchodzi petent).

PETENT: Dzień dobry! Jestem petent...

CHÓR URZĘDNIKÓW: Dzień dobry, obywatelu! Jesteśmy urzędnicy zajmujący się przydzielaniem papieru, a w danej chwili dłubiący w nosach...

PETENT: Czy mogę z naczelnikiem wydziału?

CHÓR URZĘDNIKÓW: Może pan z naczelnikiem wydziału... Oto nadchodzi! (Naczelnik wydziału nadchodzi).

PETENT: Panie naczelniku wydziału! Przyszedłem z prośbą o łaskawe przydzielenie mi papieru. Proszę o przychylnie załatwienie prośby! (Prosi o przychylnie załatwienie prośby).

NACZELNIK WYDZIAŁU: Służę chętnie! (Służę chętnie) Pan ma zamiar grubo wydać kiepski tom wierszydeł na podobieństwo „Gwiazd nad otchłanią Bałtyku”, jak to uczynił w Bydgoszczy obywatel T. Liszniewicz z powodu Dni Morza?

PETENT: Nie mam zamiaru wydawać tomu, jak T. Liszniewicz, z powodu Dni Morza. (Nie ma zamiaru wydawać).

NACZELNIK: To może chce pan wydać na 108-miu stronicach aforyzmy i dywagacje, tak jak Adolf Jończyk w Krakowie?

PETENT: Nie chcę wydawać aforyzmów i dywagacji! (Widać, że nie chce wydawać aforyzmów i dywagacji)

NACZELNIK: To może chciałby pan wydać zbiór wadliwych stylistycznie wojewódzkich i powiatowych odezw, jak to uczynił ostatnio Rzeszów na 88-miu stronicach solidnego książkowego formatu?

PETENT: I tego nie chciałbym wydać... (Widać, że i tego nie chciałby wydać...)

NACZELNIK: Więc co, u licha, chciałby pan wydać?

PETENT: Chciałbym wydać dobry podręcznik arytmetyki dla szkoły powszechnej!

NACZELNIK: Wariat! Na takie rzeczy papieru nie mamy!

CHÓR URZĘDNIKÓW: Waaariat! Na takie rzeczy papieru nie mamy! (Rzeczywiście, na takie rzeczy ciągle jeszcze papieru nie mają)

Kurtyna.

ZDZISŁAW FEDAK

W URZĘDZIE

Siedzący za biurkiem w biurze jest biuralistą albo biurokratą. Biuralista jest to pracownik umysłowy. Biurokratę inaczej zwą urzędnikiem.

By urząd mógł urzędować w godzinach urzędowych potrzebni są urzędnicy i męczennicy, czyli strony. Złośliwi twierdzą, że można też urzędować bez stron. I to z tym samym skutkiem. Ale ja w to nie wierzę. Bo któżby wtedy stał w kolejce?

Praktycznie biorąc, do urzędowania potrzebne są dwie poczekalnie, drzwi i woźny. W jednej poczekalni urzędnik czeka na strony, w drugiej strony na urzędnika. W pośrodku są drzwi i woźny, raz z jednej, raz z drugiej strony. A wszystko celem wpuszczania stron.

Najważniejszą czynnością w urzędach jest czekanie. Czynnikiem jest to rozmyślnie, czekanie bowiem działa wychowawczo, czyniąc potulnym. Po pięciogodzinnym czekaniu zapomniane są najbardziej buńczuczne słowa, które się miało początkowo na języku, będąc szczęśliwym, że w ogóle zostało się dopuszczonym przed oblicze władzy i odpowiada się tylko na zadane pytania. I to nie zawsze.

Poza tym nic tak nie zbliża ku sobie wszystkich warstw jak wspólne czekanie, urozmaicone ogólną rozmową. Jedni sarkają, że nasz wóz państwowy, który jechał dotychczas na czterech kołach, ma obecnie piąte koło, optymiści znowu pocieszają się i innych, że jest już bezpieczeństwo publiczne, może wnet będzie też i osobiste.

Czeka się, by zostać wysłuchanym. W tym celu składa się zapisany papier zwany podaniem. Ten sam papier, upstrzony różnokolorowymi adnotacjami staje się aktem. Cechą charakterystyczną aktów jest to, że przez dłuższe leżenie nabierają mocy urzędowej.

Papiery, z którymi nie wiadomo co robić, zaopatruje się w napis: „wg właściwości” i wysyła do sąsiedniego referatu. Po miesiącu wędrówek akt już nieaktualny wraca do wydziału i jest tym samym załatwiony. Dla urzędu i z urzędu. Zainteresowany zaś w międzyczasie przestał być zainteresowany.

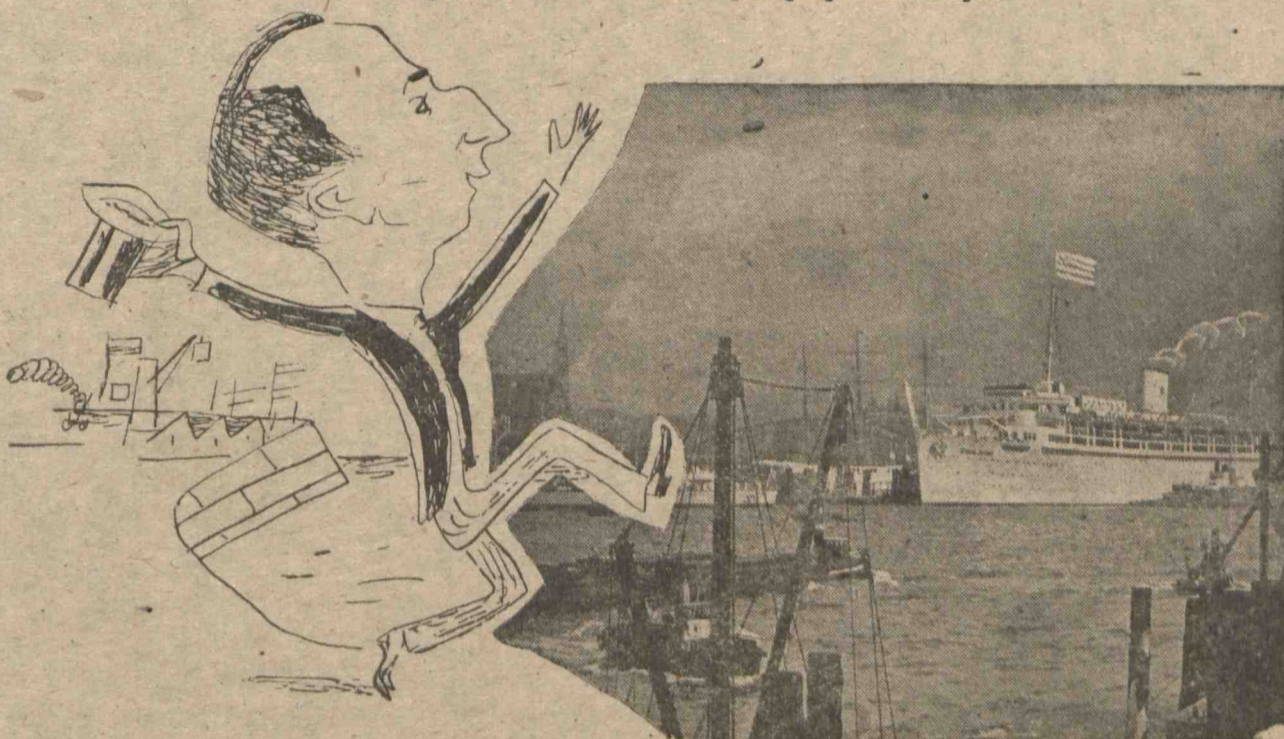
Dużo jest urzędów. Wielu w nich urzędników, lecz mało pracowników umysłowych.



rys. Jotes

Min. Skarbu Konstanty Dąbrowski

Pierwszy statek UNRRA przybył do Gdyni



rys. Jerzy Zaruba

Min. Jedrychowski: „Hip, hip, U(N)RRA!”

SPRZYMIERZENCY

Czytam — oczom nie wierzę. Przejmuje mnie zgroza.
Więc Anglicy Polaków trzymają w obozach?
Tych Polaków, co cudem swą skórę i kości
Wydarli krematoriom i łakną wolności?
Do diabła! Jeśli taka ma być Europa,
Pocóż więzić Goeringa albo Ribbentropa?
Niech wrócą do roboty i wykończą jeńców:
Ginać, to z ręki wrogów, a nie sprzymierzeńców.

JAN BRZECHWA.

W. L. BRUDZIŃSKI

KOMISJA

Całkiem niepotrzebnie powleczłem w biurze rozdzielczym UNRRA, w którym pracuję, kilka słów po angielsku. Raz było to zdaje się „all right”, a raz „well”, czy „o key”. Nic innego zresztą być nie mogło, bo więcej nie umiem.

Szef ucieszył się bardzo. — Świetnie, że mamy człowieka, który umie po angielsku — rzekł do mnie. — Wkrótce ma przyjechać kilku amerykańskich kontrolerów z centrali UNRRA, damy im pana za przewodnika!

Od tej chwili żyłem w rozterce. Wstyd mi było przyznać się, że właściwie po angielsku nie umiem. — Widzieliście go — powleczliłby w biurze — pozera, kabotyń! Nie umię, a Anglika udaje! — Pocieszałem się tylko, że może komisja przy słabej znajomości geografii wyładuje gdzie indziej i nie dotrze do naszego miasta? Zdarzają się też przecież wypadki samolotowe — marzyłem skrycie.

Niestety przyjechali. Okazało się jednak, że nie jest znów tak źle. Mieli ze sobą tłumacza, amerykańskiego Polaka, który dzieciłkiem jeszcze wjechał z rodzicami z kraju. Całkiem miły chłop. Dał mi nawet tabliczkę czekolady, którą nazajutrz sprzedałem na rynku.

Na pryncypalnej ulicy Amerykanie chcieli koniecznie wiedzieć, dlaczego na wystawach jest tyle puszek z konserwami UNRRA.

— Jak to — rzekłem z udaną

beztroską — przecież to są nasze punkty rozdzielcze!

— A dlaczego tak dużo tych punktów rozdzielczych?

— Śmieszne pytanie! My dbamy o wygodę swoich obywateli, chodzi o to, by nikt niepotrzebnie nie stał w ogonku!

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie jeden szalenie wścibski facet w okularach, który koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego przy każdej puszcze są kartki z jakąś liczbą i co ona oznacza?

— Ha, ha, ha — zaśmiałem się nieszczerze — przecież to numery odcinków, na które przydzielamy każdy rodzaj towaru. Co, nie wierzy? — dodałem — widząc, że gość w okularach coś jeszcze pod nosem mamrocze.

— Powiada, że bardzo wysokie numery mają te odcinki — odparł tłumacz. — Musteliście dużo przydzielić ludności.

— Naturalnie, naturalnie — odparłem pewnie, przeklinając w duchu wścibskiego jegomościa. Co on sobie właściwie myśli? Mało, że daje, jeszcze chciałby wiedzieć, co się z tym robi?

Dużo jeszcze mustałem tłumaczyć moim gościom. Że nazwa „bar”, tak często spotykana, znaczy po polsku całkiem co innego, a mianowicie „stołówka dla pracujących”, że właśnie dlatego widać tam przez szkiełki ludzi, spożywających dar UNRRA. Są to ci, którzy nie mają rodzin i przydziały oddały w stołówkach.

— Bardzo elegancko ubrani są

ci pracownicy — zauważył jeden z zagranicznych gości, na co odrzekłem z dumą, że u nas wszyscy pracujący chodzą tak ubrani i że najlepsze materiały i ubrania mamy tylko dla ludzi pracy.

Drzałem tylko, by goście nie chcieli wejść do któregoś z barów i przekonać się naocznie, jak w takiej „stołówce” wygląda. To też odetchnąłem z ulgą, widząc, że kierują swe auta na dworzec.

— All right, well, o key! — rzekłem z satysfakcją jednym tchem, gdy na pożegnanie zaczął mi dziękować za pokazanie niezafalszowanej naszej rzeczywistości.

Szef jest ze mnie bardzo zadowolony. W biurze uchodzę za bohatera. Zdaje się, że od pierwszego podwyższą mi o pięćdziesiąt złotych pensję.

O key!

NOWOŚCI „CZYTELNIKA”

wrzesień 1945 r.

	zł
Henryk Sienkiewicz — Krzyżacy	120.-
Zofia Dąbrowska i Wł. Milczarek — Zakochani w Pomorzu	15.-
J. Sawicki i B. Walawski — Zbiór przepisów specjalnych przeciwko zbrodniarstwom hitlerowskim i zdrajcom narodu	45.-

Do nabycia we wszystkich księgarniach



„LEKKOMYŚLNA SIOSTRA”

Nikt nie jest bez skazy. Każdy ma jakąś wadę. Każdy człowiek i każda instytucja. Profesor Młynarski jest doskonałym specjalistą, zasłużonym uczonym, został akademikiem, członkiem Akademii Umiejętności, ma wszechstronne wykształcenie, bez najmniejszego wysiłku potrafi się podpisać. Ma tylko jedną wadę. Jest mianowicie krótkowzroczny: nie widział, na czym się podpisuje. Jakież musiało być zdumienie rozżartego profesora, gdy kupując w 1941 roku książkę „Ewiges Deutschland” założył, że pieniądze, którymi płacił, są opatrzone jego autografem.

Sądownictwo brytyjskie, jak twierdzą anglomani, ma same zalety: jest ludzkie, demokratyczne, sprawiedliwe, oparte o starodawne tradycje. Ale ma jedną wadę: skazuje obywateli sojuszniczego państwa, sprowokowanych przez Niemców, na karę śmierci.

Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik” ma znakomitą organizację i kilkadziesiąt sklepów. Ma tylko jedną wadę: nie wydaje książek. Milicja w Łodzi funkcjonuje znakomicie, lecz ma jedną wadę: własny teatr. W „Orbisie” można kupić bilety kolejowe w przeddzień wyjazdu. Jest to bardzo wygodne, ale ma jedną wadę: razem z biletem musi się nabyć broszurę pewnego dygnitarza. Wobec tego, że często podróżujemy, mamy już kilkadziesiąt egzemplarzy.

Nic dziwnego, że w takim wadliwym świecie i my mamy wadę. Nasza wada jest żywa i mamy na nią mały wpływ. Naszą wadą jest lekkomyślna siostra. Długo tailiśmy ten fakt, udając jedyne go syna. Ale kiedy nasza lekkomyślna siostra postanowiła ogłosić w gazecie, że za długi brata swego, Hertza i Rojewskiego, nie odpowiada, zdecydowaliśmy się przeciw wrzód.

Nasza siostra jest poprostu plagą społeczeństwa. W czasie okupacji żyła z gestapowcem i twierdziła wtedy, że go kocha. Kiedy został zabity przez żołnierza rosyjskiego, całowała dymiącą jeszcze lufę żołnierza, twierdząc, że ją uratował od zgwaltowania, któremu się opierała w ciągu pięciu lat. Tym nie mniej za pieniądze, które pozostawił Niemiec, znowu otworzyła interes w centrum miasta, lekkomyślnie wychodząc za mąż za rozparcelowanego. Z przerażeniem patrzyliśmy, jak wdraża sprawę sądową o rewindykację rodzowego majątku swego męża. Po upływie tygodnia dowiedzieliśmy się z jeszcze większym przerażeniem, że sprawę wygrała, bo sędzia, ferując wyrok, opierał się na konstytucji z 1935 roku.

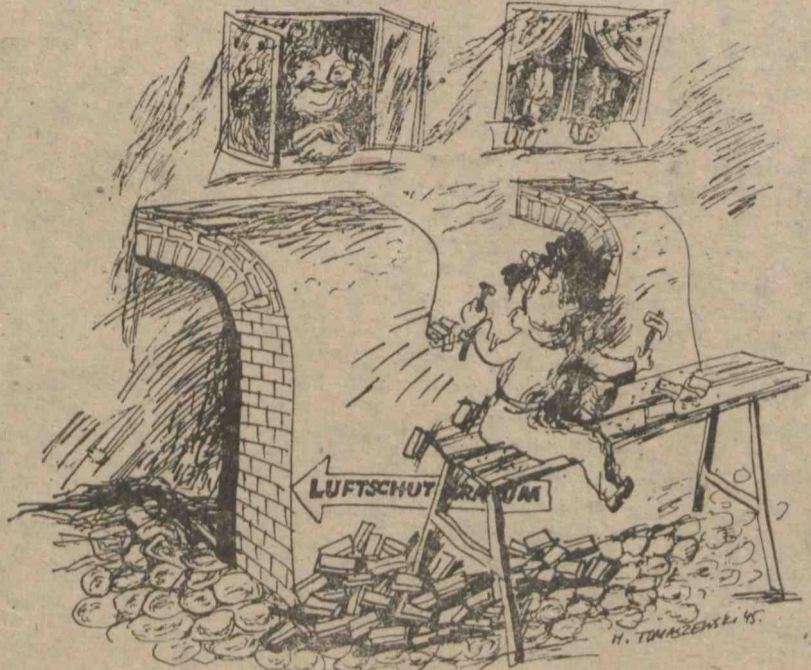
Lekkomysłna siostra ma trzech kochanków: jeden mieszka w Szczecinie, drugi w Kolobrzegu, a trzeci w Gdańsku. Wszyscy trzej szabrują. Wobec czego siostra mówi o Bałtyku: nasze morze. Na dobitkę okazało się, że nasza siostra jest jedyną żyjącą kochanką zmarłego boga-

tego fabrykanta i wkrótce otrzyma spadek w postaci paru łódzkich fabryk, niestety upaństwowionych. My jesteśmy wyrodnym bratem lekkomyślnego siostry. Nie podoba się nam, że nasza siostra lekkomyślnie żyje, nie z pracy własnej głowy i rąk, tylko z czego innego i z kim innym.

Z jaką radością powitaliśmy premierę „Lekkomysłnej siostry”! Cieszyliśmy się, że nasza siostra będzie publicznie napiętnowana. Tymczasem na scenie rodzina przemysłowca Henryka Topolskiego, złożona z pp. Grolickiego, Łuczyckiej, Wolleki i Górskiej wyrwała sobie włosy z głowy z powodu lekkiego prowadzenia się ich siostry i szwagierki, która ze staroświeckiej Warszawy lat fin de sieclu puściła się do c. k. Wiednia i skruszona powróciła po czterech latach.

Upór, z jakim pani Górecka, młoda i piękna kobieta, nie chciała wrócić do p. Daczyńskiego w roli Władysława, jej ślubnego męża, nie zdziwił naszej lekkomyślnego siostry. „Ja bym też nie wróciła” — zdecydowała — obrzucając krytycznym okiem postać Władysława, kreowaną świetnie przez p. Daczyńskiego, który jeszcze ciągle gra Świętoszka. W miejscach, w których p. Górka i p. Łuczycka plotkowały w sposób niezmiernie sugestywny, nasza siostra nie mogła wysiedzieć i chciała się koniecznie do nich przysiąść. — „Lekkomysłna siostra” Perzyńskiego ma się tak do naszej siostry, jak owe czasy do naszych. Lekkomysłna siostra Perzyńskiego jest pełna skruchy i odrzuca półmilionowy spadek po kochanku. Nasza siostra prowadzi proces o spadek po kochanku. Lekkomysłna siostra Perzyńskiego jedzie z Wiednia do Warszawy, a więc z zachodu na wschód, żeby ucziwie pracować. Nasza lekkomyślna siostra jedzie ze wschodu na zachód, żeby nie pracować. Jak się te czasy zmieniają!

P. S. Mimo, że sztuka jest dziś anachroniczna, że siostry bardziej grzeszą, a rodziny się nie boją skandalu, że spadku nikt nie zostawia, a każdy by wziął, sztuka jest czarująca. Bardzo podobały się nam wąskie spodnie i wysokie obcasy panów, długie i podkreślające zdrową kobiecość suknie pań. Prześliczne są palmy z kartonu, mimo, że nie są jak żywe. Świetny dekorator p. Daszewski nie zapomniał nawet o wazie na bilety wizytowe, w kształcie ogromnego łabędzia. Rogi jelenie na ścianach podkreślały sytuację pana domu, p. Grolickiego, któremu p. Bogucki uwodzi żonę (p. Łuczycka). Sztuka była znakomicie wyreżyserowana przez p. Daczyńskiego. Nasza siostra postanowiła zostać aktorką, gdyż, jak sobie niedawno przypomniała, grała w czasie okupacji w wesołym wodewilu wehrmachtu „Czar gestapo”. Jest nadzieja, że siostra udowodni, że robiła to w celach wywiadowczych.



rys. Henryk Tomaszewski

— Panie Kowalski, poco pan ten schron rujnuje?
— Na bombę atomową i tak nie pomoże

NA WYTWORNE PANIE

Wróciła z Oświęcimia, zgarbiona biczem lat.
A w domu przyjaciółki tuliła ją, jak kwiat.
I w tem spozregły numer. — Co, to się nie da zmyć!
O jakaś ty nieszczęsna. To straszne z plamą żyć!
A druga zakwiliła, udając wielki żal:
Z krótkimi rękawami nie pójdziesz już na bal!

IGOR SIKIRYCKI

POCZTA SZPILEK

Urząd Poczty, Łódź — Pozdrowienia i wyrazy uznania z powodu doręczenia Redakcji listu zaadresowanego tylko rysunkiem trzech szpilek.

Eryk Stepek (Jarosław) — „Pożegnanie z Hitlerem” ukazuje się w tych dniach.

A. E. Kucharski (Lublin) — Podzielamy szlachetne myśli Waszego wiersza, ale do naszego pisma nie nadają się.

Kazimierz Chmielowski (Kraków) — Wiersz Wasz przekazałmy Huszczy.

J. R. (Łódź) — Bardzo przepraszamy obywateli-sportowców za niefachowość Hertza-Rojewskiego. Od dziś pierwszy zaczyna trenować w rzucie kulą, drugi w boksie, a obaj w biegach przez plotki.

Czytelniczka (Kraków) — Sądymy, iż na Wasze, Obywatelko, pytania umiałby dać odpowiedź autor podobnych pytań w „Tygodniku Powszechnym”.

Irena Szustak (Płock) — Wierszyk oddaliśmy Nowickiemu.

K. K. — Jeden z wycinków z „Polski Zbrojnej” wykorzystamy.



rys. Stanisław Cieloch

Seans spirytystyczny



Frank: Słyszeliście, w Paderborn skazano czterech Polaków na śmierć...
Goering: Jak na początek — wcale nieźle...

rys. Eryk Lipiński

